

KAPUCYNI ⁱ MISJE



Biuletyn Misji Zakonu Braci Mniejszych Kapucynów – Prowincji Krakowskiej ISSN 1642-8897, rok 2017, nr 2



*Uwielbiamy i wychwalamy Pana za to,
że nas tak pięknie stworzył!*



Drodzy przyjaciele misji kapucyńskich!

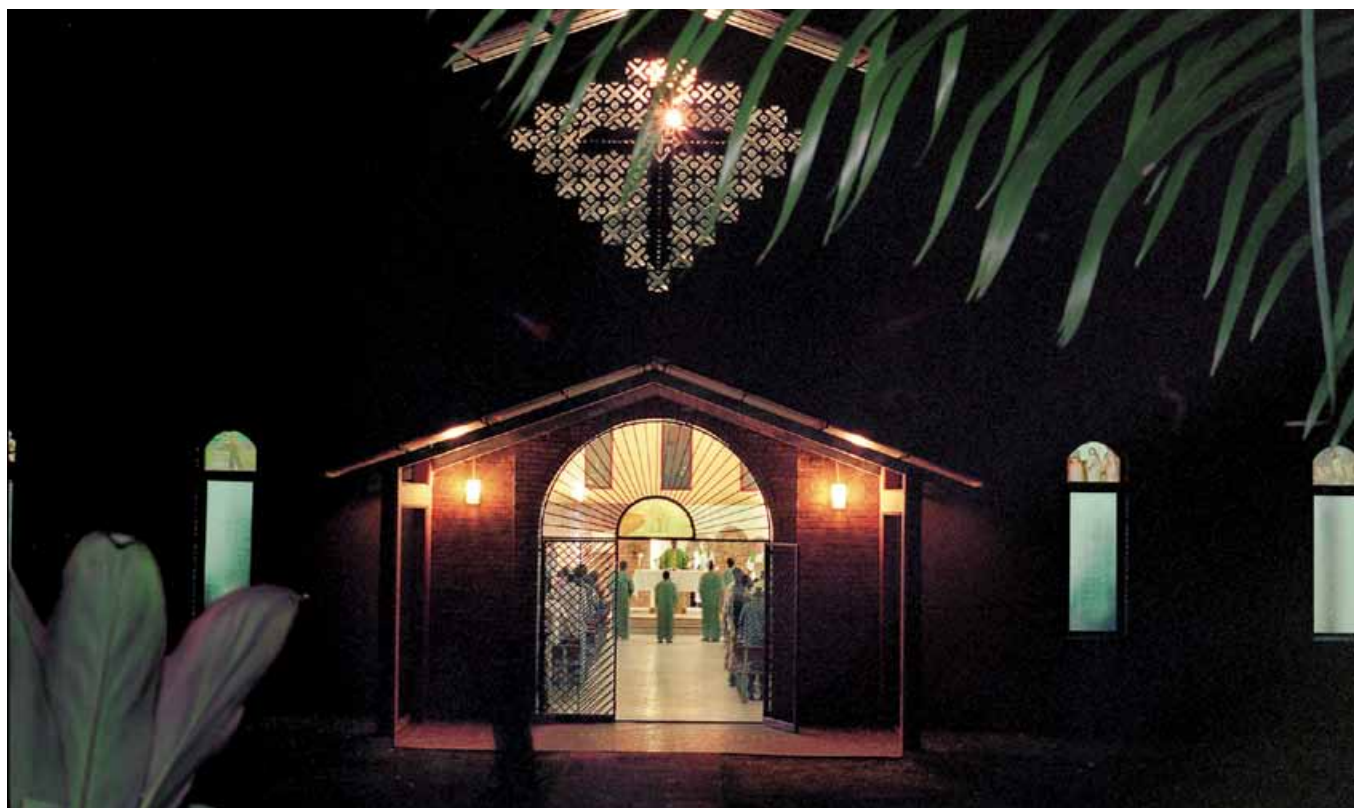
Lekko pewnie się dziwicie, że w październiku piszę do Was już o Bożym Narodzeniu. Można żartobliwie powiedzieć, że przebijam wszelkie sieci handlowe, które zaraz po Wszystkich Świętych puszcza w ruch maszynę reklamową swoich świątecznych usług. Czynię to świadomie, gdyż wiem, że przez ten biuletyn docieramy prawie do Wszystkich naszych Darczyńców i Sympatyków i możemy w ten sposób złożyć Wam życzenia świąteczne. Jest to również okazja, aby Wam przybliżyć jak wygląda świętowanie tego okresu na misjach w Afryce. W tym numerze biuletynu przypominamy o modlitwie za zmarłych we wspominkach listopadowych. Misjonarze dzielą się z nami życiem codziennym na misjach, które aktualnie jest szczególnie trudne w Republice Środkowoafrykańskiej. Przedstawiają mały wycinek prac duszpasterskich i socjalnych podejmowanych dla polepszenia życia tamtejszej ludności, m.in. w postaci nowych studni wybudowanych w Czadzie. Za to wszelkie dobro, które dokonuje się dzięki nam Wszystkim niech będzie Bóg uwielbiony.

Przeżyłem w Afryce wiele świąt Bożego Narodzenia, ale pierwsze zapadły mi w pamięć najgłębiej. Odkryłem

wtedy, że święta można przeżywać równie głęboko bez otoczki polskich i europejskich tradycji; że ich istotą jest spotkanie w moim sercu z wcielonym Synem Bożym.

Już przed świętami wiedziałem, że nie będzie choinki ani śniegu. O wigilii też nie miałem co marzyć. Nawet obiad w ten szczególny dzień jadłem sam, gdyż Enzo, mój włoski współbrat, wyjechał przed południem do wioski Man przygotować liturgię. O szesnastej wybrałem się do Ngoubouye, aby wypowiadać wiernych przed Pasterką. Mszę Świętą rozpocząłem około dwudziestej, gdyż o północy jest dla ludzi za późno. Po Mszy muszą jeszcze coś zjeść i zatańczyć wokół ogniska przy akompaniamencie bębnow. Kiedy w ubogiej kaplicy pokrytej strzechą – gdzie zamiast ławek są kołki drewniane, a posadzka to klepisko – pośród „pastuszków” współczesnego świata, przy lampie naftowej zamiast żyrandoli czyta się Ewangelię o narodzeniu Pana Jezusa, to czuje się tajemnicę Wcielenia o wiele bardziej niż w najwspanialszej katedrze świata. Poczułem się, jakbym był w Betlejem.

Ta Pasterka była dla mnie duchową rekompensatą za to wszystko, czego w tym dniu brakowało mi z polskiej tradycji.



Jak przebiegają przygotowania świąteczne w Republice Środkowej Afryki? Advent niczym się specjalnie nie różni od pozostałych okresów liturgicznych, chyba jedynie kolorem szat liturgicznych. Nie ma tam Mszy rożnziej – chociaż można powiedzieć, że w jakimś sensie jest przez cały rok, gdyż Mszę odprawia się zawsze o szóstej rano, jedynie brak na niej dzieci z lampionami w rękach. W niedziele adwentowe dzieci mają Liturgię Słowa w oddzielnej salce i przychodzą do kościoła na Ofiarowanie. Niosą wtedy w procesji suche trawy potrzebne do zbudowania szopki. Zabawnie to wygląda, kiedy dzieci, które zapomniały przynieść trawy, żebrzą u innych przynajmniej o jedno źdźbło. Potem dumnie maszerują do ołtarza w procesji, ofiarując swój dar oczekiwanemu Dzieciątku.

Największe podniecenie świąteczne obserwuje się na targu, odbywającym się co tydzień w każdej miejscowości. Kilka tygodni przed świętami kobiety sprzedają płody rolne – takie jak orzeszki ziemne, fasolę, sorgo i inne – aby mieć pieniądze na nowe ubranie i jedzenie świąteczne. Szczególnie w czwartą niedzielę Adwentu kościoły i kaplice świecą pustkami. Wszyscy są w tym dniu na targu. Mężatki oczekują od mężów nowej sukni. Kiedy mężczyzna nie ma za co kupić tego świątecznego prezentu, to ma poważny problem. Można powiedzieć, że „świętowanie ma już z głowy”. W takim przypadku zaniedbana kobieta może przestać gotować mężowi lub nawet go opuścić, wracając na jakiś czas do swoich rodziców.

Kobiety stosują różne formy nacisku, aby tylko dopiąć swego i zdobyć nową suknię. Wielokrotnie spotkałem się z taką sytuacją, że kobieta, nie mając nowego ubrania, nie przyszła na święta do kościoła. Zagadnąłem kiedyś żonę nauczyciela: „Byłaś chora, bo nie widziałem cię w Boże Narodzenie w kościele?” „Nie”, odparła, „nie miałam się w co ubrać”. To wyjaśnienie było dla mnie jasne. Skąd bierze się tyle emocji wokół świątecznego ubrania? Między innymi wynika to z tego, że kobiety chrześcijańskie niekiedy naśladują muzułmanki, które podczas ramadanu (okresu podobnego do naszego Wielkiego Postu) szyją sobie i wszystkim dzieciom nowe ubrania. Przez cały tydzień po zakończeniu ramadanu cała rodzina świętuje, nosząc tylko te nowe stroje.

Wracając do chrześcijańskich zwyczajów obchodzenia Bożego Narodzenia, trzeba powiedzieć, że w Afryce dobrze przyjęła się szopka. Najczęściej jest bardzo skromna: domek z trawy w kształcie wigwamu, otwarty z przodu, a w nim lepiące z gliny figurki Świętej Rodziny i krowy z potężnymi rogami. Szopkę umieszcza się zwykle pod ołtarzem, a po obu stronach stawia małe bananowce, które fantastycznie imitują palmy. Jednego roku w Boże Narodzenie w wiosce Hanzung z ciekawością zaglądam do szopki, a tam pustka. Pytam katechistę, czy dzieci ulepiły figurki. A może to Święta Rodzina wybrała się przedwcześnie do Egiptu? Okazało się, że dzieci po Pasterce zabrały sobie figurki do domu na pamiątkę. Innym razem, kiedy pracowałem w Czadzie, nasi



postulanci na misji w Gore wyciągnęli z magazynu karton z dekoracją świąteczną. Kiedy mu się przyjrzelśmy z zewnątrz, od razu wydał się nam podejrzany. Po otwarciu znaleźliśmy w środku opuszczone gniazdo szczurów. Nie oszczędziły niczego. Najbardziej ucierpiała figurka Dzieciątka Jezus, która miała odgryzioną nogę, palce u rąk i wiele innych śladów na całym ciele. Nie mieliśmy innej figurki, więc trzeba było sobie jakoś poradzić. Owinięliśmy Jezuska „w pieluszkę” aż po czubek nosa, mimo że temperatura powietrza sięgała 36 stopni.

Największą atrakcją popołudnia w Boże Narodzenie w Ndim jest przejażdżka moto-taxi główną drogą wiojski. Ta przyjemność kosztuje 25 franków od osoby, kiedy średnio na składkę dają po 10 franków. Dla właściciela motocykla zasada jest prosta, aby jak najwięcej zarobić za jednym razem. Kierowca więc siedzi najczęściej na baku, aby za nim mogły się zmieścić 3, a nawet 4 osoby. Wyobraźcie sobie jak wygląda taka zabawa, gdzie wszyscy są podpici, włącznie z kierującym. Każdego roku dochodzi do wypadków. Niektóre z nich niegroźne, zwykłe otarcia. Zdarzają się jednak wypadki ze złamaniem kończyn, a nawet przypadki śmiertelne. Niestety, nie mają innych pomysłów na przeżywanie tego święta. Aby odciągnąć dzieci i młodzież w tym dniu od alkoholu zaproponowałem w jedno Boże Narodzenie wyświetlenie filmu w sali parafialnej. Pomysł zrealizowałem w dwóch seansach, ale już nigdy do niego nie powróciłem. Nie wyobrażacie sobie, ile mnie kosztowało nerwów użeranie się z podpitymi wyrostkami.

Mam nadzieję, że Afrykańczycy z czasem wypracują jakiś chrześcijański styl obchodzenia tego rodzinnego święta. Życzę im tego z całego serca.

br. Jerzy Steliga, sekretarz misyjny



Pamięć o zmarłych

pisze br. Artur Ziarek OFMCap

Zbliża się listopad – miesiąc przypominający nam szczególnie o naszych zmarłych. Odwiedzamy cmentarze, modlimy się przy ich grobach, przypominamy sobie ich życie, zapisujemy imiona na kartkach wspominkowych, by z całym Kościołem modlić się o ich zbawienie. Także Afrykanie na swój sposób podkreślają znaczenie tych dni dla osób, które odeszły z tego świata.

Jak każda społeczność, plemię Ngambaye, zamieszkujące południowo-zachodnią część Czadu, ma swoje zwyczaje związane z obrzędami pogrzebowymi i okresem żałoby. Śmierć członka rodziny ogłasza się przez odpowiednie przy tej okoliczności uderzenie w bębny i krzyk płaczek. Ciało bardzo szybko składa się w grobie, zazwyczaj tego samego dnia, z powodu panujących upałów. Następnie odbywa się tradycyjne czuwanie z rodziną zmarłego. Jeśli umarła kobieta, to czuwanie trwa cztery dni, a jeśli mężczyzna – trzy. W tym czasie składa się kondolencje najbliższej rodzinie, wspomina życie zmarłej osoby, śpiewa i tańczy, je i pije – wszystko to na cześć zmarłej osoby. Na czuwanie nocne przychodzą prawie wszyscy mieszkańcy wioski, śpieszą też na nie krewni z pobliskich miejscowości. Nieobecność na tak ważnej uroczystości może skutkować oskarżeniem o sprowadzenie śmierci na zmarłego przez rzucenie na niego czarów. W efekcie takiego oskarżenia osoba posądzona może mieć poważne kłopoty. Ostatniego dnia czuwania najstarsi z rodziny gromadzą się wspólnie, by zastanowić się nad przyszłością członków rodziny zmarłego – jak im pomóc w tej trudnej sytuacji życiowej. W pierwszą rocznicę śmierci rodzina spotyka się ponownie, by oficjalnie zakończyć czas żałoby. Wydaje się wtedy uroczysty, tradycyjny posiłek z licznymi przemówieniami i tańcami. Wśród katolików coraz częściej zdarza się, że rodzina prosi kapłana lub katechistę o modlitwę za zmarłego i, jeśli jest taka możliwość, o Mszę świętą w rocznicę pogrzebu. Podkreśla się też, by w rok po śmierci pamiętać o modlitwie za zmarłego i dziękować za jego życie.

Obserwując Afrykańczyków, można odnieść wrażenie, że śmierć w ich kulturze ma większe znaczenie niż życie. Bo jeśli ktoś jest chory, inni często o nim nie pamiętają, bliscy nie są w stanie znaleźć pieniędzy na jego leczenie. Ale śmierć zmienia wszystko – nagle pojawia się rodzina, znajdują się pieniądze na jedzenie i picie, a ludzie tłumnie przychodzą na ostatnie pożegnanie.

Od dwóch lat posługuję we wspólnocie formacyjnej w Republice Czadu, gdzie pierwsze kroki stawiają

postulanci, kandydaci do naszego zakonu. W ubiegłym roku zaangażowaliśmy się w wypominki misyjne. W listopadzie 15 postulików i cała nasza wspólnota zakonna odmawialiśmy różaniec za zmarłych przedstawianych na kartkach wspominkowych. Odprawialiśmy Msze święte, modliliśmy się za zmarłych członków rodzin i darczyńców naszych misji. Przez modlitwę różańcową za zmarłych chcieliśmy uświadomić młodym Afrykańczykom, jak wielką pomoc możemy okazać duszom w czyśćcu cierpiącym. Mówiliśmy o dobrodziejach i o ludziach, którzy wspierają nasze misje, podkreślając, że za każdą ofiarą stoi konkretna osoba, której jesteśmy winni naszą wdzięczność. Dzięki ofiarom z wypominków otrzymanych z Sekretariatu misyjnego udało nam się odremontować kaplicę, salę wykładową dla postulików, wybudować część muru wokół posesji, by w przyszłości stworzyć strefę ciszy i modlitwy. Wyremontowaliśmy także budynki mieszkalne oraz zakupiliśmy pomoce dydaktyczne do kształcenia przyszłych zakonników. Jako wspólnota zakonna codziennie modlimy się za wszystkich naszych dobrodziejów i wszystkich, którzy nam dobrze czynią. Pozdrawiam z Czadu

br. Artur Ziarek



Drodzy Przyjaciele Misji

Zapraszam Was również i w tym roku, do włączenia się w misyjny różaniec wspominkowy za zmarłych. Wewnątrz biuletynu znajdziecie kartkę wspominkową. Wysyłając imiona zmarłych drogą elektroniczną, proszę nie przysyłać nam skanu tej kartki, ale bezpośrednio zapisać imiona w tekście maila lub w załączniku. To ułatwi nam przesłanie imion zmarłych do Afryki bez dodatkowego przepisywania. Bóg zapłać.

Studnia Rafael

31 maja 2017 r. w Święto Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny br. Artur Ziarek wraz z proboszczem i parafianami z Koumra w diecezji Sarh w Czadzie cieszyli się z otwarcia studni ufundowanej przez pewną rodzinę z Polski. Jaka była geneza powstania tej studni opowie nam sama fundatorka w bardzo wzruszającym świadectwie.



Pisze Pani Violetta Parol-Żyluk:

Szczęść Boże!

Oczywiście, że mogę napisać coś o podjęciu tej decyzji. Sprawa jest bardzo prosta – obiecałam to Bogu.

Mój mąż od 16 lat jest przewlekłe chory, niestety z roku na rok coraz gorzej znosi swoją chorobę. Mamy troje dzieci, w tym dwoje maluchów. To choroba męża zmieniła moje podejście do wiary. Codzienna modlitwa, która wcześniej była wyuczonym obowiązkiem, zmieniała się w radość, a Jezus jest w moich myślach codziennie. Wiara daje mi prawdziwą siłę!

Zapisałam męża i siebie na rekolekcje prowadzone przez ojca Bashoborę. Rekolekcje były pięknie prowadzone i wśród wielu, wielu wykładów ojciec powiedział, iż za mało szanujemy i dziękujemy za to, co już mamy, za zwykłe rzeczy, jak na przykład dostęp do wody. Opowiedział wtedy o dzieciach w Afryce, które muszą chodzić po wodę, o dziewczynce, która została zabita przez aligatory, bo musiała wypełnić swój obowiązek i przynieść wodę. Ten obraz nie opuszczał mnie aż do końca rekolekcji.

Po rekolekcjach były świadectwa. Wiele osób dziękowało Chrystusowi, inni o coś prosili. Ojciec Bashobora powiedział wtedy, że tyle Chrystus dla was – dla nas



– zrobił, ale co wy zrobiliście dla Niego? To jest prawda, o wiele proszę, ale co ja dałam innym? Natychmiast w moich myślach pojawiła się ta dziewczynka i przeświadczenie, że mam dać tym ludziom to, czego najbardziej potrzebują w codziennym życiu – pić. Obiecałam Jezusowi, że to zrobię. Po zakończonych rekolekcjach postanowiłam zbierać pieniądze na budowę studni i znaleźć kogoś, kto będzie mógł to zrealizować. Właśnie w ten sposób znalazłam ojców kapucynów i ich działalność misyjną. Bardzo się cieszę, że udało mi się to zrobić.

Będę wspierała w modlitwie realizację budowy studni. Prosiłam o nadanie tej studni imienia – RAFAEL. Myślę, że nazwa będzie odpowiednia. To imię jednego z archaniołów, który będzie otaczał opieką tych potrzebujących ludzi.





Ngaoundaye

pisze br. Piotr Michalik OFM Cap

Weszły czwartek wojska Minusca (oddziały międzynarodowe ONZ) spakowały się i wyjechały z Ngaoundaye, by założyć nowy obóz 6 kilometrów dalej, w okolicy Bang, gdzie znajdują się siły rebeliantów MPC (gałąź ugrupowania seleki). Konkretnie w wiosce Ngoubouye, która prawie się styka z Bang. Zostawiając na boku celowość tej przeprowadzki, ludność Ngaoundaye z powodu wyjazdu Minusca poczuła się lekko zagrożona. Czy nie będzie to początek pustoszenia tego miasta przez rebeliantów? Przecież teraz miasto stoi otworem dla wszystkich. I sporadyczne patrole Minuski niczego tu nie zmieniają...



W zeszłą niedzielę, z pomocą ks. Mirka Gucwy - wikariusza diecezji i jego współpracowników, założyliśmy tutaj Platformę Religijną, w skład której wchodzi protestanci, katolicy i muzułmanie. Postanowiliśmy jako Platforma pojechać do Bang i porozmawiać z generałem rebeliantów. Cel był podwójny: przedstawić się, jako że jesteśmy nowym stowarzyszeniem, by wiedział, że coś takiego tu już istnieje, a ponadto chcieliśmy przedstawić sytuację ludności, która cały czas żyje w strachu. Najpierw wystaliśmy do generała list z prośbą o spotkanie. Zgodził się. Po wspólnej krótkiej modlitwie, o godzinie 7:30 rano, pełni obaw (które staraliśmy się jedni przed drugimi ukrywać), wyruszyliśmy w drogę. Ja i katechista Albert (z ramienia katolików), pastorzy Armand i Benoît (z Kościoła Ewangelicznego Braci), Guy Bertrand (z Kościoła Baptystów) i Saïdou (muzułmanin). Po drodze przejeżdżamy przez wioski. Gdyby nie dzień targowy w Ngaoundaye, to pewnie niewiele osób byśmy w nich widzieli. Dojeżdżając do Bang, na rogatek widzimy pierwsze obozowisko rebeliantów, a podobno takich obozowisk jest kilka porozrzucanych po całej wsi. Zatrzymujemy się, tłumaczymy, że mamy umówione spotkanie z ich dowódcą. Pierwsza straż pozwoliła nam przejechać. Wkoło widać leniwie poruszających się żołnierzy robiących poranną toaletę. Na kolejnym szlabanie ze strażą znów tłum-

maczymy, po co jedziemy, krótki gest przyzwolenia i możemy ruszać. Po drodze obserwuję okolicę: nikogo nie widać poza wojskowymi, cała ludność cywilna opuściła wioskę. Schronili się w Kamerunie, Czadzie lub sąsiednich wioskach. Nie widzę popalonych czy rozwalonych domów, jednak wszystkie są puste, nawet meble zostały skradzione... Za kolejnym szlabaniem zatrzymujemy się i wysiadamy z samochodu. Pomiędzy mijanymi żołnierzami, jestem tego pewny, rozpoznałem złodzieja, który wraz z innymi bandytami napadł i obrabował naszą misję na początku kwietnia. Wtedy bandyci złożyli też wizytę u sióstr pasterzanek, strasząc i okradając siostry.

Zaprowadzono nas do wiaty krytej strzechą, podano krzesła do siedzenia i kazano czekać na przyście generała. Kilka minut zeszło nam na rozmowie z jednym z żołnierzy, który znał język sango. Nikt poza nim nie władał językiem Republiki Środkowoafrykańskiej, widać z tego, że wszyscy są w tym kraju obcy. W końcu przychodzi dowódca rebeliantów – generał Bahar. Szpakowały mężczyzna z malutką, kozią bródką. W uniformie żołnierskim, na ramieniu ma plakietkę Armii Środkowoafrykańskiej. Jak wynikało z rozmowy, był żołnierzem w armii RŚA, później przeszedł na drugą stronę i dołączył do ugrupowania rebeliantów seleka. Brał również udział w inicjatywach Platformy Pojednania międzyreligijnego w Bouar. Uczestniczył nawet w spotkaniu modlitewnym o pokój na stadionie Hermann i innych – w salkach tamtejszej parafii. Pochodzi z Bangui, stolicy RŚA. Jego ojciec jest muzułmaninem, matka chrześcijanką.

Przyjął nas życzliwie. Po pierwszych powitaniach i przedstawieniach rozpoczęliśmy rozmowę. Gdy my mówiliśmy, słuchał uważnie i nie przerywał. Następnie sam zabrał głos. Przedstawił swoją wizję sytuacji, fałszywie usprawiedliwiając obecność swoich oddziałów tym, że działa na rzecz wszystkich Środkowoafrykańczyków – muzułmanów i chrześcijan. Generał przytoczył kilka argumentów, dla których usadowił się w Bang. Mówił między innymi, że ludność muzułmańska została stamtąd przepędzona, a ponieważ rząd od roku nic nie robi, by poprawić sytuację, więc sam się tym musiał zająć.

Rząd faktycznie nie ma pomysłu, środków i ludzi, aby zaprowadzić względny porządek w kraju, więc uzbrojone bandy złodziei i bandytów rabują mieszkańców. Ale żołnierze generała są właśnie tymi uzbrojonymi bandytami – wiem to z własnego doświadczenia.

Oczywiście, nie robię sobie nadziei, że nasze spotkanie zmieni radykalnie sytuację w regionie. Jednak było ważne dla nas, bo mimo obaw o nasze życie czy

bezpieczeństwo, wiemy, że można do niego pojechać i negocjować pewne sprawy w imieniu ludności...

Zdecydowana większość ludzi mieszkających wzdłuż drogi Bang–Nzoro opuściła swoje domostwa i albo znalazła bezpieczny kąt u kogoś z rodziny w Kamerunie, albo żyje w obozach dla uchodźców w Czadzie, albo koczuje przy swoich polach. W niedzielę w wioskach kaplice są puste, bo wiernych po prostu nie ma na miejscu. Na szczęście wielu katechistów organizuje celebracje niedzielne tam, gdzie ludzie są – na polach. (Nawiasem mówiąc, na to uwrażliwiałem ich podczas jednego ze spotkań).

Dziś wybrałem się na taką celebrację. Wziąłem rower i wybrałem się do Bolele, 4 kilometry drogi od misji. Taka podróż to nie problem: droga, co prawda, pełna dziur i kamieni, ale tylko trochę błotnista, bo od doży nie padało. W wiosce czeka już na mnie katechista – Simon. Szybko mi wyjaśnia, że dalsza podróż połą drogą liczy 10 kilometrów, a nie 3 kilometry, jak myślałem. I na dodatek katechista nie miał roweru. Jeśli będziemy szli na piechotę, to będziemy bardzo spóźnieni. Na szczęście szybko pożyczyl jakiś rower i wyruszyliśmy w drogę. Po przejechaniu pierwszych 20 metrów już byłem cały przemoczony. Wysokie zarośla pełne porannej rosy tak zwężyły ścieżkę, że tylko 10-centymetrowy prześwit pośrodku był widoczny i w niego wpychaliśmy się na naszych rowerach, przyjmując całą rosę na siebie. Na szczęście z czasem droga się rozszerzyła, a gdy wjechaliśmy między starannie wyplewione pola, to już było całkiem przyjemnie. Musieliśmy oczywiście cały czas bardzo uważać, by nie wjechać do dziury, wyrwać się na kamieniu, korzeniu, błocie lub przy ostrym zjazdach. Mój przewodnik hamował pęd roweru, przykładając podeszwę klapka, który miał na nodze, do opony przedniego koła! Po drodze mogłem podziwiać pola uprawne. Tutejsze plemię Pana to urodzeni rolnicy. Pola ciągnęły się po horyzont. Pięknie utrzymane uprawy: manioku, orzeszków ziemnych, kukurydzy, prosa, a teraz sadzona jest biała fasola.



Na miejscu spotkała mnie niespodzianka. Myślałem, że koczowisko to, jak dotychczas, jedna lub dwie prowizoryczne chatynki należące do jednej rodziny, postawione przy należącym do niej polu. A tu zastałem 20 skromnych chat wokół wspólnego podwórza, a na podwórzu kilkadziesiąt osób. Dzieci łuskały kukurydzę, bo teraz przypada pora zbioru. Kobiety, siedząc kilka metrów dalej w swoim gronie, opiekowały się małymi dziećmi, mężczyźni wymieniali między sobą najnowsze wiadomości. Zaraz za domostwami rozciągają się wszędzie pola. Te 20 chat i ich mieszkańcy to jedna rodzina: trzech braci ze swoimi rodzinami i rodzinami ich dzieci. Gdy po pierwszych powitaniach dali mi krzesło, bym usiadł (jedno z dwóch, które były w tym siole), zacząłem obserwować to ich życie: była tam jakaś harmonia, spokój, każdy w tej społeczności miał swoje miejsce i czuł się jej członkiem. Jestem świadomy, że nie zawsze jest tak pięknie i sielankowo – ale była to chwila zatrzymana niczym w obiektywie. (A propos obiektywu, jak zwykle zapomniałem wziąć ze sobą aparat fotograficzny i bardzo tego żałuję).

Nagle widzę – jakiś chłopak uganiania się za kurą. Wiem, co to oznacza: po Mszy św. będzie obiad dla gości... Więc trzeba zacząć przygotowania do Mszy św. Zaraz za chatkami rosną trzy duże drzewa mangowe i jedno równie duże dzikie drzewo. To będzie nasza kaplica. Ponieważ w całej osadzie nie ma ani jednego stołu, więc przynoszą 200-litrową zdezelowaną beczkę, na niej stawiają równie zdeformowaną dyktę. To będzie ołtarz. Za obrus posłuży „pagne” – wzorzysty materiał noszony przez kobiety zamiast spódnicy. Kilka kawałków drewna stworzy ławki, przydadzą się też maty i plandeka do siedzenia bezpośrednio na ziemi. Zapraszam chętnych do wypowiedzenia się przed Mszą św. Ludzie z sąsiednich pól powoli się schodzą. Jest nas sporo. Katechista Simon zliczył ich i powiedział mi po Mszy, że było nas 107 osób. W ramach ogłoszeń zdałem relację z naszego spotkania z generałem rebeliantów, którzy zajęli Bang. Lekko zachęcałem ludzi do powrotu do wioski, bo rok szkolny się rozpoczął i dzieci mogłyby chodzić do szkoły. Jest też kwestia chorób, których ludzie się nabawiają, żyjąc bez dostępu do czystej wody i w takich niehygienicznych warunkach. Tym bardziej, że nie zanosi się na jakąś szybką i radykalną zmianę sytuacji... Jednak po Mszy św. ludzie powiedzieli mi, że jeszcze nie wrócą do wioski, bo za bardzo się boją. I rozumiem ich.

Na koniec naszej wizyty, jak już wcześniej przewidziałem, zostaliśmy zaproszeni na posiłek z gospodarzem. To była ilustracja dzisiejszej Ewangelii – i szczenięta jedzą okruszki spadające ze stołu gospodarza... Był obok mnie pies, który na czas homilii usadowił się w pobliżu, by łatwiej było mi wytłumaczyć Ewangelię. Później pożegnania i powrót. Jeszcze poproszono mnie w wiosce, abym pomodlił się nad Madelaine, kobietą dręczoną przez złego ducha (znów przyczynek do dzisiejszej Ewangelii), ale niestety, nie znaleźliśmy jej. Proszę, pomódlcie się za Madelaine, za moich parafian, za ten kraj.

br. Piotrek



Studnia miłosierdzia

pisze br. Artur Ziarek OFM Cap

Zwykły dzień w Gore... Upał, jak przystało na Czad, słońce operuje na pełnych obrotach, śmiejemy się, że szuka misjonarza, by go opalić. Po przeniesieniu na nową placówkę misyjną do moich obowiazków doszedł kolejny: zostałem mianowany kapłanem więzienia w Gore. Przed wyjazdem na misje byłem kapłanem i katechetą w ośrodku resocjalizacyjno-wychowawczym we Wrocławiu, więc pewne doświadczenie z zakładami penitencjarnymi posiadałem. Byłem ciekaw, jak w środku wygląda więzienie w Czadzie, bo wiele razy obok niego przejeżdżałem, ale nigdy go nie odwiedziłem.

Więzienie to dwa stare budynki po magazynach bawełny. Od 40 lat fabryka bawełny nie funkcjonuje; zniszczona przed laty przez rebeliantów, nigdy nie została odbudowana.

Z zewnątrz miejsce to nie przypomina europejskiego więzienia. Brakuje tu jakiegokolwiek ogrodzenia. Budynki są wysokie, pokryte blachą, do każdego z nich prowadzi ciężkie kute drzwi.

Wszedłem do więzienia około godziny 15 – godziny miłosierdzia – a towarzyszyli mi nasi postulanci, którzy spełniali w ten sposób uczynki miłosierdzia co do ciała. Przywitałem się z naczelnikiem i przedstawiłem, pokazując nominację od biskupa na kapłana więzienia. Rozmawiając, wyszliśmy na wewnętrzny dziedziniec. Było tam kilka osób, które okazały się mieszkańcami aresztu, oczekującymi na proces. Nie byli agresywni, stali wokół garnków, gdyż tego dnia byli odpowiedzialni za więzienną kuchnię. Na trzech kamieniach stał duży garnek z gotującym się grochem na kolację. Po krótkiej rozmowie



naczelnik wziął klucze, na ramieniu zawiesił karabin maszynowy kałasznikowa i zaprosił nas do środka budynków, na spotkanie reszty więźniów. Wraz z postulantami podeszliśmy do masywnych, żelaznych drzwi. Przez małe okienko w drzwiach wyglądał na zewnątrz smutny mężczyzna. Naczelnik otworzył i weszliśmy w kompletną ciemność i zaduch.

Temperatura na zewnątrz dochodziła do 42 stopni C, ale wewnątrz było o wiele więcej, bo blacha na dachu grzała jak piekarnik. Pomieszczenie bez okien nigdy nie było wietrzone, wszędzie w powietrzu unosił się straszny zapach spoconych i brudnych ciał oraz smród fekalii oddawanych przez więźniów za ścianą tego samego budynku. W jednej chwili zrozumiałem, że nie zdołam oddychać przez nos, łapałem więc łapczywie powietrze przez usta, oczy mi łzały, ale powoli przyzwyczaiły się do ciemności. Więźniowie siedzieli na matach, brudni i spoceni. Niektórzy, ci bardziej agresywni, złączeni byli z innym więźniem łańcuchem. Przedstawiłem siebie i braci postulantów, podając dłoń, próbowałem zamienić z każdym kilka słów, ale nie było to proste, ponieważ niektórzy nie mówili po francusku, a jedynie po arabsku, w sango, w nganbaye, w sarah oraz w innych lokalnych dialektach. Chwilę się z nimi pomodliliśmy, a gdy drzwi się za nami zamykały, z ciemności rozległ się lament

więźniów i prośby o wodę. Przez więzienne okienko w drzwiach wyrzucali brudne butelki i prosili o wodę... by się napić, by się obmyć.

Nie byłem u nich długo, ale wystarczająco, by spędzone chwile uznać za koszmar. Ciemność prawie grobowa, smród, gorąc i do tego brak wody. Nie znam gorszego miejsca, nigdy nie widziałem podobnie strasznych warunków, może jedynie wyobrażenia starodawnych lochów mogły być jakąś namiastką. Po powrocie do domu skontaktowałem się z br. Jerzym, odpowiedzialnym za misje w naszej prowincji, i poprosiłem o pomoc w zaopatrzeniu więźniów w wodę – czyli w wywierceniu dla nich studni. Opatrzność czuwała nad tą prośbą, bo br. Jerzy odpowiedział, że właśnie otrzymał pieniądze na studnię. Przekazali je mieszkańcy Częstochowy. Trzeci Zakon świętego Franciszka pod przewodnictwem ks. proboszcza Janusza Wojtyły zorganizował kolejną zbiórkę makulatury, dzięki której uzyskano środki na budowę studni. W krótkim czasie udało się zrealizować projekt budowy studni p.w. Matki Bożej Nieustającej Pomocy. Radość z czystej wody była nie do opisania.



W dniu otwarcia studni odprawiliśmy Mszę świętą zaanimowaną przez braci postulantów, poświęciliśmy studnię i cieszyliśmy się z tego daru czystej wody, który otrzymali ci ludzie. Nasza wspólnota zakonna przygotowała tego dnia posiłek, zjedliśmy go na placu razem z więźniami. Niektórzy z nich po raz pierwszy od dłuższego czasu wyszli na zewnątrz, na świeże powietrze. Po wspólnym posiłku rozdaliśmy im mydło i przekazaliśmy Pismo Święte. Po błogosławieństwie każdy wrócił do siebie – my do klasztoru, oni do więzienia. Przeżyliśmy wielki dzień miłosierdzia! Dzięki ofiarodawcom mogliśmy dać wodę spragnionym, a nasza wspólnota zakonna z zaoszczędzonych pieniędzy przygotowała posiłek i podarowała więźniom mydło. I jak w uczynkach miłosierdzia – odwiedziliśmy i pocieszyliśmy więźniów, napoiiliśmy ich i daliśmy im jeść... Niech będzie Bóg błogosławiony!



Kolejne studnie w Czadzie błogosławieństwem dla tamtejszej ludności

1 maja 2017 r. odbyła się uroczystość otwarcia i poświęcenia studni głębinowej w Guelkou na przedmieściach Moundou w Czadzie. Nad realizacją projektu czuwał doświadczony w tej dziedzinie br. Artur Ziarek. Jest to już trzecia studnia ufundowana przez mieszkańców Częstochowy – po studniach św. Franciszka w Doab i Matki Boskiej Nieustającej Pomocy w więzieniu w Gore. Tym razem darczyńcy nadali studni imię Matki Boskiej Częstochowskiej z okazji przypadającej w tym roku 300. rocznicy koronacji Jasnogórskiego Cudownego Wizerunku NMP. Warto podkreślić ten szczególny zbieg okoliczności, że parafia w Guelkou nosi ten sam tytuł co parafia z Częstochowy, czyli świętych apostołów Piotra i Pawła. Dziękujemy wszystkim mieszkańcom Częstochowy, którzy zbierają makulaturę przy tej parafii na studnie w Afryce. Mieszkańcy Guelkou wyrażają szczególną wdzięczność członkom Franciszkańskiego Zakonu Świeckich i proboszczowi parafii, ks. Januszowi Wojtył. Bóg zapłać za ten wielki dar serca.





Żywa Wspólnota Kościoła

pisze br. Robert Wnuk OFMCap

Witam Was wszystkich i pozdrawiam z Bocaranga w Republice Środkowoafrykańskiej. Napiszę dziś kilka słów o pewnej wspólnocie i kaplicy katolickiej w Gbadok.

Pięć kilometrów od Bocaranga, na skrzyżowaniu dróg, które prowadzą do Bozoum i Bouar, położona jest niewielka wioska Gbadok. Liczy ona około 2000 mieszkańców. To prawdziwa mieszanka ludzi, języków, wyznań. Zamieszkujący tę wioskę ludzie z plemion Gbaya, Karé i Banda porozumiewają się każdy w swoim języku, a na forum ogólnym używają języka narodowego – sango. Są tu protestanci, baptyści, luteranie i katolicy, nie brakuje też animistów. Codziennie wieczorem przy drodze natknąć się można na niewielki targ. Sprzedawcy oferują tam warzywa, owoce, mąkę, cukier, sól, pączki, mydło, latarki, baterie, a nawet trochę elektroniki – mam tu na myśli takie rzeczy jak zegarki, radia tranzystorowe itp. Słowem – żywność i rzeczy codziennego użytku. Na niskich stołach można znaleźć coś do przegryzienia i do popicia w skwarne wieczory po pracy.

Wspólnota katolicka istnieje tutaj od dawna, bo ponad 40 lat. Przed kilkoma laty, dzięki pomocy z Polski i Fundacji Kapucyni i Misje, została tu wybudowana nowa kaplica pod wezwaniem św. Piotra Apostoła. Poprzednia kaplica wybudowana w latach osiemdziesiątych spełniła swoją funkcję, a teraz stała się Maison de Jeunes – miejscem spotkań i animacji grup młodzieży, dzieci i starszych, prób chóru, miejscem katechezy i życia kościelnego. Ze względu na powiększającą się liczbę chrześcijan nowa kaplica jest prawie dwa razy większa



od starej. Chrześcijaństwo Kościoła katolickiego jest ponad 500. Trzeba powiedzieć, że jest to bardzo dużo jak na wspólnotę wioskową. Ewenementem tej wspólnoty jest nie tylko liczba, ale bardzo żywa i aktywna działalność. Ludzie jak ludzie – tacy jak my, z takimi samymi codziennymi problemami: praca, rodzina, szkoła, dzieci, choroby, cierpienia. Wszystko normalnie, ale nie do końca.



Od 2010 roku katolicy z tej wioski bardzo poważnie zaczęli myśleć o swoim zaangażowaniu w życie kościelne. Najpierw nastąpiły przygotowania do budowy kaplicy, te bardzo materialne: zbiórka funduszy, przygotowanie cegły, zebranie piasku i kamieni, ręce gotowe do pracy... Jednak w tym wszystkim nie zapomnieli o swoim zaangażowaniu duchowym. Istnieją tu aktywne wspólnoty dzieci, młodzieży i starszych: tancerki, ministranci, Aita kwe (Oaza) dla dzieci, młodzież franciszkańska, chór animujący celebracje liturgiczne, skauci, grupa lektorów, Ogniska Rodzin, Legion Maryjny. Każdy może znaleźć coś dla siebie, do wyboru i do koloru – a kolory ubrań afrykańskich są przecież zachwycające. Nie brakuje katechezy dla dzieci i młodzieży, która ochoczo w niej uczestniczy, wzrastając w łasce u Boga i u ludzi. Raz do roku, w okresie wielkanocnym, jest wielkie święto udzielania sakramentów, m.in. chrztu dla około 40-50 osób, pierwszej Komunii świętej i kilka ślubów. Dla chętnych raz w miesiącu jest spowiedź i Msza św. Od jakiegoś czasu nie jeżdżę tam spowiadać już sam, ale jedziemy we dwóch, ponieważ spowiedź zajmuje nam i tak kilka godzin. Nad wspólnotą czuwa

dwóch katechistów i ich pomocnicy. Są oni pełni życia, wiary, wigoru i entuzjazmu. W swojej posłudze nie zapominają o ubogich, starszych i opuszczonych. Obok kaplicy jest szkoła, do której uczęszcza mnóstwo dzieci. Zajęcia odbywają się do południa, a także kilka razy w tygodniu po południu.

Kilka lat temu w sercach ludzi z tej wspólnoty zrodziło się pragnienie posiadania w kaplicy tabernakulum z Najświętszym Sakramentem. Dla nas w Europie to nic nadzwyczajnego, że kościół posiada tabernakulum, ale tutaj, na terenach misyjnych, nie jest to takie oczywiste. Biskup diecezji daje pozwolenie na stałe przechowywanie Najświętszego Sakramentu tylko tym wspólnotom, które są dojrzałe i mocno zaangażowane. W 2015 roku zaczęły się więc duchowe przygotowania. W każdą środę jest Msza św. i katecheza poświęcona Eucharystii. Jest to piękne doświadczenie wspólnoty ludzi, których wiara rodzi się i wzrasta z dnia na dzień. Piękne doświadczenie młodego Kościoła – ubożego, ale wzrastającego.



Dzięki dobrodziejom z Polski otrzymaliśmy z Sekretariatu misyjnego w Krakowie tabernakulum i już za kilka dni będzie oficjalne umieszczenie Najświętszego Sakramentu w kaplicy. W sierpniu mieliśmy rekolekcje z Matką Bożą i uroczyste wprowadzenie do kaplicy figury Matki Pana Jezusa. Dokonaliśmy wtedy poświęcenia całej wspólnoty Jej Niepokalanemu Sercu. Najpierw Ona, Maryja, weszła, by przygotować miejsce dla Niego, swego Syna, a teraz On sam, w swoim Najświętszym Ciele, tu zamieszka. Na naszych oczach dokonuje się to, o czym mówi Pismo: „Przychodzi, aby zobaczyć swój lud. I z nim pozostaje Emmanuel, czyli Bóg z nami”. Bogu niech będą dzięki za Jego łaskę i dobroć dla swego ludu! Jeszcze czekamy na dzwon wysłany w maju z Polski, który utknął w Kamerunie. Mamy nadzieję, że niebawem zawiśnie w dzwonnicy nad wejściem do kaplicy i będzie zwoływał wiernych na modlitwę. Dzwon waży 40 kg i został zakupiony przez Fundację Kapucyni i Misje ze środków zebranych wśród darczyńców. Wszystkim ofiarodawcom serdecznie dziękuję!



W ostatnim czasie sytuacja w Republice Środkowoafrykańskiej jest szczególnie trudna. Na prawo i na lewo co pewien czas wybucha rebelia, która niesie zniszczenie i ofiary w ludziach. Rebeliantów pod wpływem narkotyków stać dosłownie na wszystko. My powierzamy się Bożej opatrności, nie tylko w słowach i pobożnych życzeniach, ale w konkretnym zaangażowaniu na rzecz pokoju i pojednania. Organizujemy międzyreligijne spotkania modlitewne oraz spotkania informacyjne i edukacyjne, by wśród ludzi budować klimat pojednania i przebaczenia. Każdego dnia wyzwań jest wiele. Szerzy się nienawiść, złość, morderstwa, rozboje, ale dzięki Bożej opiece trwamy i idziemy do przodu. Mimo różnic na wielu płaszczyznach, uczymy się przebaczenia i szukamy tego, co nas łączy. Dziękuję Wam za pamięć w modlitwie za mnie i za ludzi, z którymi żyję.

br. Robert Wnuk OFMCap, Bocaranga

Asystuję **narodzinom** nowej rzeczywistości

fragment rozmowy z br. Robertem Wieczorkiem OFMCap

Marta Anna Zabłocka: Jest Brat misjonarzem na innym kontynencie. Czy żyjąc w Republice Środkowoafrykańskiej, trudniej (a może właśnie łatwiej) być chrześcijaninem niż w Europie?

Robert Wieczorek: Nie jestem w stanie wyważyć odpowiedzi przy pomocy skali „łatwiej – trudniej”. Na pewno mogę powiedzieć, że tu jest się chrześcijaninem „inaczej”. Asystuję narodzinom nowej rzeczywistości. A poród nierozdzielnie związany jest z niepewnością i bólem, jednak najbardziej z radością. Tutejszy Kościół jest świeży, wąty, bo małoletni. Mam tu wiernych, którzy jeszcze pamiętają czasy, gdy Kościoła nie było w ich regionie. Martine i Gaston, Josephine i Noel... Przesuwają mi się przed oczami pomarszczone twarze fundatorów pierwszych wspólnot – świadków skromnych początków, lokalnych apostołów, dotykanych świętych, którzy w młodości dali się ponieść szaleństwu zawierzenia novum – Nowinie o Jezusie. Zaintrygowany, obserwuję więc z pasją kibica, jak ten Kościół się rozwija – tak jakby z niczego, wbrew logice i prognozom, bo z ubóstwa środków, bylejałości nas, misjonarzy, z prostoty, a i nie raz z wręcz infantylnej niekonsekwencji tutejszych wiernych... A mimo to jednak – dzieje się! Czuje się powiew Ducha! Jestem naocznym świadkiem czegoś niezwykłego, niewytłumaczalnego samymi ludzkimi argumentami. Zresztą rozwój Kościoła na całym Czarnym Lądzie w ciągu ostatniego wieku to wielka niespodzianka, nie dla wszystkich mądrych tego świata miła.



Czym praca misjonarza w Afryce różni się od posługi duchownych na kontynencie europejskim?

Staram się najpierw nie przeszkadzać moim europejskim widzom. Trzeba się nauczyć dużo pokory i ostrożności w wyrażaniu sądów o tym, co się tu dzieje, bo jako obcokrajowiec widzę to inaczej, a już na pewno wiele nie dostrzegam. Na co dzień jestem proboszczem wiejskiej parafii na zagubionej prowincji graniczącej z Czadem. To mała, jak na afrykańskie standardy, parafia – tylko dwadzieścia wspólnot wioskowych na terytorium porównywalnym do polskiego powiatu. Duszpasterstwo sakramentalne to podstawowa praca. Tak więc chodzi o zapewnienie każdej wiosce Eucharystii i sakramentu pokuty przynajmniej parę razy w roku, koordynację posługi trzydziestu trzech katechistów i ich siedemdziesięciu pomocników, którzy z dobrej woli co roku uczą katechizmu około dziewięćset katechumenów, co owocuje średnio trzystoma chrztami w okresie wielkanocnym.

Ale tak po prawdzie, to jestem budowlańcem z prawem do odprawiania mszy. Jest wiele potrzeb i trudno ludziom odmówić. Przynajmniej połowę czasu zajmują mi więc prace na budowach. Mam ich po kilka rocznie: nowa szkoła, kaplica w buszu czy ujęcie wody. Wszystko to udaje się dzięki szczodrości polskich katolików. Przy tym, skoro mieszkam w nowicjacie kapucyńskim, wypada dać młodym braciom przykład życia zakonnego.

Na stronie Fundacji Kapucyni i Misje przedstawia się Brat następującymi słowami: „(...) ryzykuję izolację dla wierności zasadom. Obstawiam przy niemodnych wartościach małżeństwa, życia, posługi czy oddania siebie przez śluby i święcenia. Misje umacniają mnie w tych mniejszościowych wyborach”. Dlaczego nazwał Brat takie wartości jak małżeństwo czy posługa wartościami niemodnymi? I dlaczego, skoro są niemodne, warto przy nich obstawać?

Nawet w społeczeństwie, gdzie większość jest ochrzczona, ludzie autentycznie starający się żyć wartościami ewangelicznymi są w mniejszości. Tym bardziej tak jest w Afryce, gdzie liczbę ludzi jakoś identyfikujących się z Kościołem katolickim można ocenić na jedną trzecią społeczeństwa, a co dopiero mówić o utożsamiających się w pełni. Jako katolicy żyjemy w ważnej, liczącej się, ale zawsze mniejszości. Gdy w Polsce spada liczba małżeństw sakramentalnych, bo niby-wierzący wynajdują sobie coraz więcej wymówek, by jednak nie zawieźć swej rodziny Bogu, tu, w Afryce Centralnej, ludzie, choć masowo garną się do chrztu, nie dorośli jeszcze do de-

cyzji o małżeństwie sakramentalnym. Mieć dużo dzieci? Tak! I parę kobiet? Czemu nie? Ale wiązać się z jedną żoną, i to na całe życie? Nie... Nieco tu ironizuję, ale większość mych czarnych braci patrzy na taki wybór z niedowierzaniem. W efekcie trzeba walczyć o „regulację” istniejących już od lat związków (tradycyjna wizja małżeństwa dopuszcza tu poligamię i rozwód, więc nie nadaje się do „ochrzczenia”). A ci małżonkowie, którzy „szarpnęli się” na związek sakramentalny (w porządku w oczach Kościoła – odstający od otoczenia) i mogą przystępować do komunii, stanowią mniejszość wśród par żyjących „normalnie”, czyli katolików bez sakramentu małżeństwa. Skądinąd Afrykańczycy są z natury bardzo otwarci na życie i kolejna ciąża nie jest bynajmniej „uciążliwa”. Praca na niwie duszpasterstwa małżeństw sakramentalnych to jednak orka na ugorze. Większość chce mieć dzieci (niezbyt ważne, jak i z kim), ale już zdecydowana mniejszość myśli o ich wychowaniu przez własny przykład, o zapewnieniu im nauki i godnego życia.



Posługa zasadniczo różni się od przysługi. Nie brakuje życzliwych ludzi, by oddać komuś przysługę. To łatwe, sympatyczne i przychodzi spontanicznie. Z tym natomiast, by się na stałe poświęcić posłudze, mamy już większy problem. Młodzi chętnie angażują się w wolontariaty, których szeroki wachlarz się im proponuje, i liczba chętnych do poświęcenia paru miesięcy czy lat życia dla dobra innych stale rośnie. Można przy takiej okazji zdobyć wzbogacające doświadczenia, odbyć staż językowy, zobaczyć kawałek Bożego świata i poznać fascynujących ludzi. To wszystko jest dobre. Ale ta mentalność niepostrzeżenie przedłuża u młodych stan infantylnej niezdolności do podjęcia ostatecznej decyzji o tym, co z sobą począć w życiu (bo jeszcze tu albo jeszcze tam fajnie byłoby spróbować...). Stąd też tak brzemienne w skutki zwlekanki z wypowiedzeniem fundamentalnego „tak” dla założenia rodziny, a poprzestawanie jedynie na radości z posiadania „partnera”. To samo z decyzją o poświęceniu się Bogu i ludziom w powołaniu kapłańskim czy zakonnym – tam tym bardziej poprzeczka zdaje się zawieszona za wysoko, więc i powołań jest coraz mniej.

Są to więc wybory coraz rzadsze, bo nie są trendy. A dlaczego mimo wszystko przy nich obstawać i silić się, by brnąć pod prąd? Bo tylko zdechłe ryby płyną z prądem. Wraz z upływem czasu (a noszę już pięćdziesiątkę na garbie) utwierdzam się w przekonaniu, że decydując się na życie zakonne, kapłaństwo i misję, dokonałem trudnego może do zrozumienia, ale właściwego wyboru. To samo widzę w życiu mego starszego brata, który jest kapłanem diecezjalnym. Patrzę na małżeństwa mego młodszego rodzeństwa, takie „klasyczne”: najpierw studia, praca, stabilizacja, potem narzeczeństwo, ślub, dom i dzieci na końcu – i po prostu mówię: To są dobre wybory. Warto tak żyć. Jest w tym szlachetna, sprawdzona przez wieki, stara mądrość.

Co pozwala utrzymać wierność wspomnianym wartościom i zasadom?

Drugą nogą, na której opiera się wiara (obok pierwszej – treści wiary, czyli dogmatu), jest zawierzenie. Przypominanie sobie przy okazji corocznego odnowienia przyrzeczeń chrzcielnych w noc paschalną, że chrzest to również zaangażowanie z mej strony – „zwrócona do Boga prośba o dobre sumienie” (1 P 3, 21), wspomnienie w Wielki Czwartek na zobowiązania płynące z sakramentu kapłaństwa albo wdzięczność za powołanie w rocznicę ślubów zakonnych – to konkretne środki stawiające mnie do pionu. Utwierdzam się na nowo w przekonaniu, że warto było zaryzykować, angażując się na całe życie, bez oglądania się na statystyki i mody. Przysięga małżeńska czy śluby zakonne wzmacniają kręgosłup duchowy. A do tego rzecz tak oczywista jak powietrze, które nas otacza: modlitwa. Oddychanie obecnością Boga, nastrojenie się na odbiór fal Jego woli. Mam ten komfort, że z roboty w buszu pośród ludzi wracam do ciszy pustelni nowicjackiej. Karby życia zakonnego zapewniają mi codziennie kilka godzin trwania przed Panem.

A czy chęć nawracania kogoś nie może czasem wyraść z pychy i czy nie łączy się przypadkiem z jakimś rodzajem manipulacją? I czy prowadzenie misji w Afryce nie stanowi kontynuacji kolonializmu?

Pana i Karre, wśród których pracuję, masowo garną się do Ewangelii. Ja do nich jadę z posługą kapłańską, ale to oni sami się organizują we wspólnotach, modlą się co niedzielę, uczą katechizmu. Każda wioska ma ambicję, by mieć własną kaplicę. Ludzie chcą się chrzcić. Perspektywa bycia dzieckiem Bożym po prostu bardzo się im podoba. Kto im tego zabroni?

Czyli u podstaw problemów społecznych w RŚA leży jednak kryzys ekonomiczny państwa, nie zaszłości religijne?

Bynajmniej nie chcę mydlić oczu: problemy religijne są. Nasi bracia muzułmanie swym uszczęśliwianiem innych na siłę przez natrętne narzucanie swej obecności tam, gdzie ich nie potrzeba, zdają się robić wszystko, by ich widok doszczętnie zbrzydził rdzennym mieszkań-



com tego kraju. Zanim mnie ktoś oskarży o „mowę nienawiści” i brak miłości do innych, powiem, że w ciągu ostatniego roku nowicjat, w którym mieszkam, stał się czterokrotnie miejscem schronienia dla muzułmańskich pasterzy Mbororo. Za pierwszym razem schronili się u nas w obawie... przed innymi muzułmanami. Stało się to, gdy uzbrojeni żołnierze seleki przywlekli się tutaj z propozycją „zapewnienia ochrony”. Ludzie we wsi, chrześcijanie i garstka muzułmanów, żyli dotąd w spokoju. Dopiero pojawienie się rebeliantów wniosło zamieszanie. I bynajmniej nie chodziło o wyznawaną przez nich religię, ale o to, że byli uzbrojeni.

I tak przez ostatnie dwa miesiące w nowicjacie kapucyńskim w Ndim mieszkało dziewięciu zakonników i... setka muzułmanów. Trzeba było widzieć codzienną scenkę: my odmawiamy nieszpory w kaplicy, a oni za naszymi plecami biją pokłony w stronę Mekki (a przy okazji i tabernakulum o kilka metrów przed nimi), bo akurat nasza kaplica zorientowana jest zgodnie z kibla, czyli ich kierunkiem modlitwy. Ci biedni nomadowie schronili się u chrześcijańskich mnichów przed bandytami, którzy chcieli wycisnąć z nich ostatni grosz pozostały przy duszy. I tak wróciliśmy do punktu wyjścia: chodzi o pieniądze.

Jakie jest miejsce Boga w życiu codziennym mieszkańców RŚA? Gdy zaspokajanie podstawowych potrzeb – potrzeb materialnych i potrzeby bezpieczeństwa – stanowi tak trudne zadanie, czy zostają im jeszcze siły na życie duchowe?

Tym bardziej potrzebują Boga! Zaskakuje zdecydowana różnica między Europejczykami a Afrykańczykami w interpretacji nieszczęść spadających na ludzi. Upraszczając, powiem tak: statystyczny Europejczyk zachwiany w swym wygodnym bycie przez jakieś nieszczęście osobiste najczęściej buntuje się, krzycząc: Za co? Dlaczego to mnie spotyka? Gdyby Bóg był, toby do tego nie dopuścił! Bóg, jak się okazuje, to nie bezpiecznik – i tu otwiera się prosta droga do kryzysu wiary i odejścia od niej.



Reakcja Afrykańczyka w sytuacji tak dramatycznej, jak Pani przedstawiła, jest zaskakująca. Gdy stanie mu się krzywda, gdy na przykład rebelianci zabiją mu kogoś z rodziny, a więc nie ma perspektywy na sąd i rekompensatę, wtedy mówi: Bóg jest! On to widzi! Istnienie Boga staje się imperatywem fundamentalnej sprawiedliwości. Przed paroma miesiącami antybalaka zabiła pod moim kościołem muzułmanina – odmówił wykupienia się od śmierci odpowiednio wysokim haraczem. Ludzie spieszą mi donieść: Oprawcy po paru dniach sami pozabijali się między sobą w kłótni o łupy! Bóg jest sprawiedliwy! – pada sentencja.



Bóg jest. Po prostu jest. Co do tego nie ma w Afryce żadnej dyskusji. Tak jak nikt nie zastanawia się, czy następnego dnia zobaczy słońce na horyzoncie. Ateizmy i agnostycyzmy to problemy ludzi w Europie i może jeszcze gdzieś tam dalej, za Wielką Wodą, ale nie tu. RŚA należy do kręgu kultury francuskiej, w urzędach i szkołach używa się języka byłych kolonizatorów, ale „wybrzydzenie” na Boga charakterystyczne dla oświeconego laicyzmu znad Sekwany jest dla Afrykańczyka przejawem jakiegoś zakręconego dziwactwa. Z politowaniem wzrusza na to ramionami. To społeczeństwo jest po prostu przyjazne Bogu. On zawsze był postrzegany jako Ojciec i Stworzyciel. A odkąd Afrykańczycy dowiedzieli się od misjonarzy, że Bóg jest miłością i że umarł za nas na krzyżu, są mu za tę Dobrą Nowinę – naprawdę dobrą i naprawdę nowinę – niezmiernie wdzięczni.

Fragment ten pochodzi z wywiadu przeprowadzonego w ramach projektu Fundacji Pionowy Wymiar Kultury, który ukazał się w książce: „Wiara w czasach niewiary. Rozmowy o współczesnej religijności”, pod red. Joanny Bielskiej-Krawczyk, Wydawnictwo Znak, Kraków 2017.

Kupując kawę pomagasz dzieciom w Afryce

ZAPRASZAMY do sklepu: www.sklep.kapucyni.pl
tel. 12 623 60 50 wew.132

Każdy, kto kupi paczkę kawy Cardinale Massaia funduje posiłki dla osieroconych dzieci w Republice Środkowoafrykańskiej



Zdecyduj się i pomóż!

SEKRETARIAT MISYJNY Zakonu Braci Mniejszych Kapucynów – Prowincji Krakowskiej

opiekuje się misjonarzami pracującymi
na kontynencie afrykańskim
w Republice Środkowoafrykańskiej
i Republice Czadu.

Wspieraj misje swoją modlitwą, pracą i ofiarą.

Sekretariat Misyjny Kapucynów
ul. Korzeniaka 16, 30-298 Kraków
PKO BP: 97 1020 2892 0000 5502 0016 6371

FUNDACJA KAPUCYNI I MISJE

zajmuje się organizowaniem i niesieniem pomocy
humanitarnej, dobroczynnej i charytatywnej ludziom
potrzebującym w krajach afrykańskich,
w których pracują misjonarze z Zakonu
Braci Mniejszych Kapucynów.

Przyłącz się do nas już dziś!

Fundacja Kapucyni i Misje
ul. Korzeniaka 16, 30-298 Kraków
PKO S.A. 47 1240 4533 1111 0010 3492 9934
www.fundacja.kapucyni.pl



Biuletyn „Kapucyni i misje”

Za zgodą władzy zakonnej.
Do użytku wewnętrznego Kościoła.
Koszt prenumeraty to dowolna ofiara
na pokrycie wydatków związanych z drukiem.

Wydawca:

Sekretariat Misyjny, ul. Korzeniaka 16
30-298 Kraków, tel. (+48 12) 623 60 50 wew.132
e-mail: misje@kapucyni.pl
www.misje.kapucyni.pl

Redakcja:

br. Jerzy Steliga OFM Cap (red. naczelny)
Diana Bonowicz,
Nakład: 5 000 egz.

Skład i druk:

Studio Graphito, tel. 71 310 21 65



CARDINALE Massaia

KAWA MIELONA
I ZIARNISTA

Pijąc kawę
Massaia
pomagasz

misjonarzom kapucynom
w Afryce.

Dochód ze sprzedaży kawy jest
w całości przekazywany na misje
w Republice Środkowoafrykańskiej
i Republice Czadu.

Kawa Cardinale Massaia: mielona lub ziarnista
jest dostępna w sklepie internetowym
www.sklep.kapucyni.pl.

Zamówienia przyjmujemy również telefonicznie
pod nr: 12 623 60 50, wew. 132 lub 668 532 250,
oraz listownie pod adresem:
Fundacja Kapucyni i Misje, ul. Korzeniaka 16,
30-298 Kraków.

Wpłaty za kawę prosimy kierować na konto:
33 1240 4533 1111 0010 4887 1511

